

KLUCZ WIOLINOWY

Jarosław Wojciechowski



Jarosław Wojciechowski

Klucz Wiolinowy



Klucz wiolinowy

wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-66915-39-8

© Jarosław Wojciechowski i Wydawnictwo Agrafka 2022

REDAKCJA I KOREKTA

Sylwia Lewandowska

SKŁAD I ŁAMANIE

Studio Grafpa, www.grafpa.pl

OKŁADKA

Marta Chrobak

DRUK I OPRAWA

Print Group

WYDAWCA

Wydawnictwo Agrafka

ul. Macierzankowa 15, 64-514 Przeclaw

www.wydawnictwoagrafka.pl

Dedykuję:
Mojej kochanej wnuczce Poli Kamińskiej

Serdecznie dziękuję ludziom wielkiego ducha za okazaną mi pomoc i życzliwość: dr n. med. Wiesławowi Nowakowskiemu Kardiologowi, specjaliście chorób wewnętrznych dr n. med. Zbigniewowi Szafrancowi, Lekarzowi stomatologii Krystynie Góralskiej i ś.p. mojemu wujkowi Władysławowi Słupeckiemu.

*Pogoń za nim, to najpiękniejsza przygoda,
jaka mogła mi się do tej pory przytrafić.*

Klucz to symbol wyjątkowo pojemny. Mieści się w nim władza, dozór, opieka, wierność, wyzwolenie, uwolnienie, otwarcie i zamknięcie, wiązanie i rozwiązywanie, tajemnica i tak dalej i tym podobne. Co powyższe wyjaśnienie ma do najnowszej książki Jarosława Wojciechowskiego? Jeżeli dobrze przyjrzeć się jego prozie, to ma wszystko. Należy tylko szukać i odgadywać, co dusza zapragnie.

Czym ta książka jest? Pewnie nikogo nie zaskoczę, jeśli powiem, że pogoń za wysublimowaną przygodą, która tylko nielicznym jest dana. Jest próbą uwolnienia od dobrze znanej każdemu człowiekowi codzienności pełnej problemów i wynaturzeń, a także sposobem na odnalezienie odskoczni, aby nie utracić w sobie intuicyjnego patrzenia na świat, a w jaki sposób?

Otóż autor daje nam do rąk opis spotkania kilkorga przyjaciół – artystów, biorących udział w szalonym performance tworzonym na użytek chwili, tu i teraz, na naszych oczach. Niełatwo nadażyć za zmieniającymi się w tempie kalejdoskopowym barwami, scenami, nastrojami. Rozum podsuwa skojarzenia, a wyobraźnia poszukuje tego, co autor ukrył.

„Klucz wiolinowy” to książka o władzy nad wyobraźnią. To właśnie ona pozwala bohaterom powoływać do życia to, co w istocie

martwe, jak chociażby piaskową rzeźbę wiolonczelistki, która towarzyszy wydarzeniom niczym muza, aby wreszcie powołana aktem twórczym dołączyć do gry swój instrument. To władza nad wrażliwością artystów potrzebujących do istnienia czegoś więcej niż codzienności. Wypełniają oni swoją rolę, tworząc szaloną sytuację artystyczną z tańca, muzyki i malarstwa, po to, aby ukształtować sztukę żywą, przepełnioną emocjami, ale ulotną, bo jej wynikiem nie jest nic rzeczywistego. Ślady pozostają w duszy.

Jest to książka, którą należałoby przeczytać, jednocześnie rozkoszując się muzyką. Skąd ten pomysł? Otóż dwójka przyjaciół będąca na dzikiej plaży przez cały czas, ilustruje wydarzenia, które tam się wydarzą – grając przeróżne melodie i śpiewając piosenki. Czego tu nie ma – zaczynając od „Sonaty księżycowej” po piosenki Teatru Buffo. Kiedy się spróbuje uruchomić tę dodatkową estetykę, wtedy dostępuje się wtajemniczenia. Wkracza się w świat nieprawdopodobnych skojarzeń. Ta muzyczna rzeczywistość otwiera drogę ku przestrzeni prawie namacalnej, a jednak oddalonej o dziesięciolecia dla zwykłego człowieka. Próba połączenia literatury Jarka z instrumentalnym tłem zamienia zwykłą książkę w dzieło twórczego zamysłu, przenoszącego nas w inny wymiar. Albo w nasz wymiar, jednak o wiele piękniejszy i bardziej wysublimowany.

To jeszcze jednak nie wyczerpuje sposobów odczytania tej opowieści. Oprócz świata literatury i muzyki odbiorca musi otworzyć się na wymiar szalonej malarskiej palety kreślącej na naszych oczach barwne obrazy. Jedna z bohaterek – reżyser spotkania, aktywny sprawca, w akcie niczym nieograniczonej kreacji tworzy – i jedynie nasza intuicyjna wyobraźnia może pomóc nam odkryć cel i sens oraz skutek działań nawiedzanej malarki. Zrywa ona więzy i ograniczenia, poddając się nastrojowi wytworzonemu przez współtwórcy. Zachęca ich do czynienia sztuki, kieruje na właściwe tory, nakazuje zrywać z ograniczeniami zwyczajności.

Proza autorstwa Jarka narzuca władzę nad umysłami ograniczonego konwencjami odbiorcy. Jej poznanie staje się przygodą, próbą

pokonania meandrów ludzkiej wyobraźni wyzwolonej spod więzów. Czasem zanurzenie się w taką przygodę, pozwala zauważyć, czego człowiekowi w życiu brakuje, czego nawet nie dostrzega jako brak. Dlatego właśnie warto sięgnąć po „Klucz wiolinowy”, aby przekonać się, czy inna estetyka, inne postrzeganie rzeczywistości nie pozbawia nas czegoś, co jest ważne dla naszej, w końcu niezwykłej cielesności.

Bożena Laskowska

Rozdział I



Zamykając drzwi za sobą, poczuła zmęczenie i jednocześnie radość, że świat klucza wiolinowego objawił jej się w każdej postaci. A to, że był bezpośrednią przyczyną jej buntu i pogoni za nim, tylko utwierdzało ją w przekonaniu, że jednak tak trzeba było...

– Tak, to prawda – mówiła sama do siebie. – Pogoń za nim to moja najpiękniejsza przygoda, jaka mogła mi się do tej pory przytrafić.

Gdy usłyszała jego zew, nic nie było ważne – tylko ON! Klucz wiolinowy i właśnie ta obsesyjna myśl nieuchronnie przybliżała ją do spotkania z jego światem. Wówczas jego oddech i zapach już się w niej rozchodził, a właściwie to był chyba od zawsze... To prawda wywlekał ją na słodkie manowce i to wiele razy, a jakie słodkie były – ojj były! Samo wspomnienie przyprawiało ją o zawrót głowy i lekkie drżenie serca. Mimo że tyle się wydarzyło, zanim uświadomiła sobie, że jest jego nieodłączną częścią. To czy warto było palić na jego ołtarzu tyle kadzideł? Owa myśl, co jakiś czas powracała do niej, nie pozwalając skupić się na samym akcie powrotu. Powrotu do miejsca, gdzie wszystko dla niej zaczęło się wykluwać, przecierać, przyjmując właściwe kształty, które otworzyły jej drogę do jego naturalnej przestrzeni – muzyki i sztuki.

Na początku nie wiedziała, czy się cieszy z powrotu, czy też nie. Niby proste zadane sobie pytanie, na które powinna paść prosta odpowiedź – tak lub nie. Jednak nie padła, nie było na to żadnej szansy, a co tu dopiero odpowiedzi na targające ją w tej chwili uczucia.

Będąc teraz w mieszkaniu niczym kotka łowna cichutko, bezszelestnie przemknęła do swojego pokoju, by nie przebudzić jakiegoś licha. Zamknąwszy za sobą drzwi, mimochodem zlustrowała swój pokój. Dostrzegła, że nic się w nim nie zmieniło, że wszystko jest tak, jak było, tak jak zostawiła. Futerał od skrzypiec leżał otwarty w tym samym miejscu na kanapie, obok niego smyczek nawet w tej samej pozycji – włosiem do góry, otwarty zeszyt z nutami na tej samej stronie – koncertu Czajkowskiego (Elegii). Na ten znajomy widok swojego pokoju uśmiechnęła się do siebie, bo było jej miło zastać takim, jakim go opuszczała. W końcu opuszczała go w pośpiechu. Nasyciwszy się jego widokiem, głośno powiedziała do siebie i nie do siebie...

– No to pięknie! Wszystko jest tak, jak to zostawiłam w tamtej szczególnej dla mnie chwili. Wychodząc z domu, czułam przez skórę, że coś mnie wzywa, woła. Nie? Nie wiedziałam od razu, cóż to takiego było. Dopiero po drodze uświadomiłam sobie, że wzywa mnie „klucz wiolinowy! – Zaśmiała się na samo to wspomnienie, od razu dodając:

– I właśnie dlatego w tamtej chwili nic nie było w stanie mnie zatrzymać. Wystarczył jeden telefon koleżanki i propozycja spotkania. Niewątpliwie postawioną kropką nad „i” były chwilowe zaburzenia relacji z rodzicami, które tylko usankcjonowały to, co i tak miało się zdarzyć. – pochyliwszy się nad otwartym futerałem, musnęła skrzypce z wielką czułością, delikatnie przesuając po strunach opuszkami palców, jakby bojąc się, że może je przebudzić. Spojrzała do góry, próbując znaleźć właściwsze określenie. Gdy w końcu znalazła, sama do siebie cicho powiedziała:

– Tak właśnie było!

W tym momencie uśmiechnęła się do siebie, głośno wypowiadając magiczne słowo – KLUCZ WIOLINOWY. Słowo to wywołało w niej silne uczucie emocji. Raz wypowiedziane odbiło się w niej szerokim echem, dlatego poszła za jego głosem w magiczny świat. W międzyczasie kręciła się po pokoju, chodząc z miejsca na miejsce, a to znowu przestępując z nogi na nogę, to znowu siadając i wstając.

Ta nerwowość wynikała z dręczącej ją cały czas myśli: czego w kluczu wiolinowym właściwie szukała? Za którymś razem chodząc po pokoju z założonymi rękami do tyłu, a właściwie miotając się z kąta w kąt, łapała brakującą myśl. Właściwie to nie łapała, a raczej sama spłynęła na nią, jakby czekała. Poczwała, jak ją całą wypełnia, zaczynając od serca.

Radość jej była wielka, poczuła lekkość w sobie, podskoczyła do góry kilka razy, wykrzykując na głos:

– Już wiem, czego szukałam w kluczu wiolinowym, już wiem – siebie!

W pierwszej chwili zamilkła na chwilę, rozglądając się na boki, jakby nie dowierzała, swojemu głosowi, i jeszcze raz zadała sobie to pytanie – czego szukałam? Szybko sobie odpowiedziała i usłyszała odpowiedź – siebie! Faktycznie tak mogło być.

Zaczęła rozbierać na czynniki pierwsze tamtą chwilę, która kazała jej iść za wyzwaniem, które niczym tajemniczy i nieznany dzwon odezwał się w niej i bił, mimo że nie od razu był przez nią słyszany. Najwidoczniej była głucha lub nieczuła na to, co jej tak naprawdę w duszy grało. Na to wspomnienie pojaśniała jej twarz, a oczy nabrały tego samego blasku jak wtedy, gdy przywoływał ją kluczek wiolinowy – iskrzyły niczym gwiazdy na niebie. Spojrzała jeszcze raz na swój pokój i miło jej się zrobiło, że przez jej szybkie wyjście nic się nie zmieniło w pokoju. Usiadła w milczeniu na kanapie i mimo woli nakryła się kołdrą. Nie, nie zasnęła, bardziej zapadła jakby w letarg, podczas którego wszystko to, co się wydarzyło tak niedawno, odtwarzało się samo – niezależnie od niej.

– Dokładnie słyszałam głos matki i ojca – bezwiednie powtarzała swoje nagłe odkrycie. Powtarzała na głos niczym odmawianą mantrę, szybko do tego, dodając: – Gdybym tylko słyszała, to może mogłaby to wytłumaczyć albo przypisać jakieś tam swojej chwilowej niedyspozycji, że coś mój umysł sam sobie konfabuluje. A przecież wszystko widziała i słyszała jeszcze raz, tak jak to było, tak jak się stawało, będąc w roli głównej. – Pochłonięta nieoczekiwanym

odkryciem nie zauważyła jak pod nosem, mamrotała składnie i nieskładnie swoje myśli, przy tym rozkładając bezradnie ręce, choć może jednak nie tak do końca bezradnie. Cała ta sytuacja musiała przyznać przed sobą, zaskoczyła ją i w pierwszej chwili straciła busołą. Owszem straciła, ale tylko na chwilę – tak się pocieszała. To prawda, iż na początku nie mogąc sobie poradzić z wytłumaczeniem niecodziennej przypadłości gdy była jej nosicielem, wydawało jej się, iż kręci się w kółko i w końcu pomyślała nawet, że zwariowała, że zaczyna jej odbijać i to całkiem zdrowo. Kiedy jednak przyjęła ją jak swoją i przestała się jej opierać, poczuła się lepiej. Poczuła ogromną przyjemność przeżycia jeszcze raz wszystkiego od nowa, mając nawet wrażenie swojej szczególności...

– Tak, jeszcze raz to wszystko przeżywam od nowa! – wykrzyknęła. – Widzę, słyszę i czuję całą swoją fizycznością i duszą. W końcu to jest to, czego wówczas nie dostrzegłam i nie przeżyłam do końca, do samego końca! – sama do siebie powiedziała. Próbowała zrozumieć do samego końca to, co jej się zadziało, ten szczególny fenomen psychiczny, nad którym nie dawała rady zapanować: on po prostu się staje!

Odkrywszy w końcu złoty środek (akceptacja siebie takim, jakim się jest) poddała się bez większych sprzeciwów temu niecodziennemu uczuciu, ponownie stając się jego uczestnikiem. Teraz wyraźnie usłyszała głos matki i była pewna, że w tamtej chwili jest w domu:

– Ewa nie zajmuj się pierdołami, a weź się do sprzątanania, wyjdzie ci to na zdrowie – perorowała matka i nie dając za wygraną, ciągnęła dalej – Zobacz! Jak ja posprzątałam u siebie w pokoju, możesz się przegłądać jak w lusterku.

– Mamo! Daj spokój, bo się rozplączę z wrażenia.

– Nie bądź taka dowcipna Ewa!

– Zaraz dowcipna, wzruszyłaś mnie i tyle...

– Widzę, że żadna z tobą rozmowa, ale nie myśl sobie, że twoja matka jest tylko od sprzątanania i usługiwania tobie!

– Ojj! Dobra mama wyluzuj – krzyknęła o ton wyżej.

– Ewa! Nie pozwalaj sobie za wiele – zirytowała się matka.

Zapadło milczenie po obu stronach. Po chwili słyhać było, jak matka trzaska garnkami w kuchni – jakby celowo i niczym pocisk wypada z kuchni do swojego pokoju. – No tak, teraz wiadomo, co będzie robić – pomyślała Ewa. Oczywiście złapie za karty i przez dobrą godzinę będzie sobie stawiała pasjansa – no i fajnie, to teraz mam przez jakiś czas spokój, ale jeszcze kolej na ojca! Jego „koncert”. Długo nie trzeba było czekać i ojciec zaczął. Wystarczyła zaledwie minuta, a jego scenariusz w niczym się nie zmienił, od kiedy pamięta. Przy tym wcale nie był gorszy od matki, może nawet lepszy od niej, więcej jej wrzucał do „ogródka”.

– Wiesz, że mama ma rację i nie stawiaj się, smarkulo!

– Ojj! Tato, daj i ty mi spokój – zripostowała, by nie dać mu czasu na coś gorszego i o wiele bardziej przykrego.

– Tak! No dobrze, dam ci spokój, zgoda? Ale najpierw przećwicz jeszcze z kilka etiid. Wczoraj słyshałem, jak grasz, powiem, iż jest mizernie. Tak nie można grać, to obciach! Poza tym jest to poniżej twoich możliwości, co jest z tobą?

– Ale strzeliłeś jak kulą w płot... – odszczekała się.

– Ewa, delikatniej proszę i nie udawaj nierozgarniętej dziewczuchy!

– Jednak tato, strzeliłeś...

– Tylko nie kończ i bez takich błyskotliwości słownych.

Twarz ojca nabrała wyjątkowo ostrych rysów i z lekka poczerwieniała, widać było narastającą w nim złość, która lada chwila może eksplodować.

– Ach tak! – kwaśnym uśmiechem skwitowała.

– Tak, moja córko, tak właśnie – z naciskiem na ostatnie słowo ojciec zakończył.

Zamilkła, bo co miała powiedzieć na to ich ciągle gderanie. Pewnie, że mieli rację i cóż z tego, skoro przestało to ją zajmować, delikatnie powiedziawszy. No właśnie, bo... klucz wiolinowy jej się objawił i woła ją z każdej strony, gdziekolwiek by się nie obróciła, najwyraźniej o coś mu chodzi – tylko o co? Wtedy tego nie wiedziała. Poza

tym czuła w nozdrzach świeży zapach powietrza znad morza. Oczami widziała jak leży na dzikiej plaży jak co roku z przyjaciółmi, zachwycając się zachodem słońca i pełnymi ognia rozmowami o stworzeniu świata. Nie, nie było wśród nich nikogo, kto by nie uległ tej szczególnej magii przyrody pełnej harmonii i ładu – boskiego stworzenia. A te wzajemne niekończące się rozmowy, których żadna zgłoska nie była fałszem, choćby była nieprawdopodobna i niesamowita w wyznaczaniu najdalszych zakamarków wszechświata – kłamowała wszystkich uczestników w ich tęsknotach za światem idealnym. To było to, do czego tęskniła i o czym myślała. Czuła, że ta boska chwila zbliża się do niej i jest tuż za rogiem, za drzwiami. Wstała i przespacerowała się wielokrotnie po swoim pokoju, nie reagując na gderanie ojca: – Niech sobie gada jak taka jego ochota! – powiedziała sama do siebie – Niech sobie gada! – tak przechadzając się od okna do drzwi, odruchowo zatrzymała się przed futerałem skrzypiec i długo nie zastanawiając się, wyjęła je i zaczęła grać VIVALDIEGO: wszystkie cztery pory roku, koncertu nr 1 E-dur WIOSNA, gdzie radosne tutti otwiera I część, gdzie słychać śpiew ptaków trele i staccato. Grała, a niewidzialny anieli chór przyłączył się do niej i wszelka zła krew, która ostatnio rozlewała się po jej mieszkaniu, przemieniła się w triumf piękna i harmonię życia. Jak długo grała? Tego nie wiedziała. Jakie to mogło mieć wówczas znaczenie – czas wówczas nie liczył się, nie istniał. Istniało to, co najpiękniejsze i samo w sobie dawało prawdziwy oddech cudu stworzenia świata, a którego tak do końca nie rozumiała, mimo iż bardzo pragnęła. Na samą tę myśl spojrzała do góry, jakby oczekując od kogoś potwierdzenia – od kogoś, kto być może jest z nią, nie zdradzając swojej obecności i czyta w jej myślach. Zorientowała się w końcu, że nie ma nikogo, że to tylko jej własne myśli są projekcją takiego, a nie innego stanu jej ducha – westchnęła głęboko i głośno sama do siebie powiedziała:

– I co Ewa! Czujesz, że ktoś lub coś w tobie grasuje? – wypowiedziawszy te słowa, poczuła się trochę jakby nieswojo – onieśmiona i zaskoczona własnymi słowami. Mimo to stwierdziła, że właśnie

trafia jej się szczególna okazja oraz możliwość, przyjrzenia się im dokładniej.

– Tak, przestać się buntować przeciwko temu, co jest w nas – dokończyła rozmowę z samą sobą, dodając na koniec. – Niech to będzie przysłowiową kropką nad „i”. Ładnie powiedziałam, co Ewa? – sama w sobie szukała potwierdzenia.

To wystarczyło, by cały oddział łez czający się pod jej powiekami ruszył ze wszystkimi swoimi zastępami i zalał ją całą, uwalniając przy tym głośny i konwulsyjny szloch. Płakała jak nigdy dotąd, nie wiedząc, po co i dlaczego, czując jednocześnie, że coś odchodzi z niej bezpowrotnie i nieuchronnie, że na to miejsce przychodzi nowe, że już jest w niej i się rozchodzi po całym jej ciele i duszy. Powiadomiona o swoim stanie ducha, poszła za nowym głosem jeszcze troszkę niepewnie, ale już później stanowczo i zdecydowanie gotowa przyjąć nowe wyzwanie.

Wygramoliła się spod kołdry – nie, nie wygramoliła się, a raczej energicznie zrzuciła ją z siebie, traktując ten akt, jako pierwszy objaw nowego, pewnego i zdecydowanego podejścia do samej siebie i rzeczywistości, jaka ją otacza, czy będzie otaczać. Pewnie i przytomnie zaczęła się rozglądać po swoim pokoju, dostrzegając wszystkie zmiany, jakie w nim zaszły. Na pierwszy rzut oka wydawać by się mogło, że jest tak, jak go opuściła. Skrzypce leżą tak, jak je zostawiła, w otwartym futerale na podłodze przykryte nutami. Kanapa jest niedokładnie zaścielona. A jednak ktoś był w jej pokoju – zauważyła to po dokładnej lustracji. Pierwsze co jej się rzuciło w oczy to ukochane kwiaty, które były na pewno podlane. Poznała to po żywotności ich koloru i po tym, że chętnie pięły się w górę. Zauważyła również, że jej ukochane maskotki są równiutko poukładane, a książki, które były w nieładzie, stoją grzbietami na baczność. Dodatkowo jest uchylone okno. No tak, widać, że ktoś był i twórczo grasował po jej pokoju, jednak nie zakłócając specjalnie pierwotnego stanu. Tak jakoś miło zrobiło jej się na sercu i sama do siebie się uśmiechnęła. Było to przyjemne odkrycie, które sprawiło, że kilka łez spłynęło spod jej powiek,

spadając wprost na róże, które stały w kryształowym wazonie na jej biurku. Widziała, jak kropla po kropli odbija się od płatków lekko do góry i nagle zdało jej się, że ona w tej jednej kropli się znajduje. To wrażenie trwało tylko chwilę, a wydawało jej się, jakby trwało całą wieczność. Nie wiedząc czemu i dlaczego, delikatnie podniosła jeden płatek róży, który jakby na jej powitanie sam się oderwał i spoczął na biurku obok jej dłoni. Tchnięta jakimś dziwnym od wewnątrz wołaniem, przyłożyła go do serca. Zakręciło nią niemiłosiernie i poczuła, że leci do czegoś, co jest piękne i niepowtarzalne – co jest w niej! By nie stracić tej cudownej chwili, zamknęła oczy i... usłyszała przedcudne granie. To na skrzypcach i na wiolonczeli, to na okarynie i na harfie ktoś grał i to całkiem blisko, właściwie na wyciągnięcie ręki. Otworzyła oczy powoli, bardzo powoli by nie prysnął ten „zaczarowany” świat, który tak nagle jej się objawił...

– To możliwe? – zapytała samą siebie.

A jednak było to możliwe i to tuż przy niej, czuła to całą sobą – całym jestestwem swoim. Zapragnęła zobaczyć któż to gra, kto jest w jej pokoju. Oczom jej ukazał się widok iście anielski – nie z tego świata! Jasna smuga światła niczym zwiewny woal przyozdobiony promieniami słonecznymi tańczył wokół niej, to znowu przepływając przez nią z taką łatwością, że to o cud się ociera – cóż wówczas ona doznaje uczucia radości i szczęścia, o którym poeta niekiedy zamarzy, a pieśniarz wyśpiewa.

– Trwaj chwilo, trwaj wieczność całą! – Ewa usłyszała swój zachwycony głos.

Nie mogła się uspokoić, drżała cała niczym osika, połykając całą sobą świat ducha, który jej się objawił, aż w końcu światem tym ona się stała – wierszem, pieśnią, muzyką. Po tych doznanych wrażeniach powieki same jej opadły tak nagle jak się otworzyły i cisza wokół niej zaległa przeraźliwa. Trwała w tej ciszy, nie wiedząc jak długo, stając się w niej przerażonym istnieniem – jeszcze świadomym nieznanego, pięknego uczucia, jakiego przed chwilą doznała. Może dlatego, że drzwi świata, do którego niepostrzeżenie przenikała, były jeszcze

niedomknięte. Gdy już wydawało jej się, że zaczyna wtapiać w to, co doznała, usłyszała głos nieznany w sobie. Usłyszała i to tak wyraźnie, że nie sposób było go zignorować – wdrukował się jej we wszystkie komórki nerwowe.

– Otwórz oczy i to natychmiast!

Otworzyła bez żadnego „ale” – automatycznie i pierwsze co ujrzała, to płatki róż delikatnie opadające między jej stopy. Ach! Jak pachniały, mój Boże do tej pory ten zapach ma w sobie.

Stała oszołomiona i zdziwiona, że świat, jaki jej się objawił, znikł tak po prostu.

By uciec od tych wspomnień pięknych i tak nierzeczywistych, zadała sobie pytanie:

– Gdzie są koty?

Otworzyła drzwi od pokoju i niepewnie oraz powolutku weszła. Dopiero teraz dotarło do niej, że w domu nie ma nikogo, oprócz dwóch kotów – Klotyldy i Heni. Chwilę później wyszły jej na spotkanie. Radości zwierzaków nie było końca, z ogonami podniesionymi do góry ocierały się o jej nogi i przechodziły między nimi, miaucząc przy tym – miau! miau! miau! To znowu na przemian jeden przez drugiego prawą łapką lekko drapały ją po stopach. Nie mogła inaczej postąpić jak tylko się z nimi pobawić – wyrazić swoją wdzięczność i radość za przywiązanie i pamięć.

– Klotylda! Heńka! Moje kochane kotki – pieszczotliwie do nich mówiła.

Po tych słowach koty jeszcze intensywniej napierały na nią, najwidoczniej spragnione jej głosu i głaskania. Wydawać by się mogło, że mówią do niej ludzkim głosem.

– Głaszcz nas Ewa, głaszcz, tęskniliśmy za tobą! Miau, miau, miau!

No cóż, wypadało im dać wyraz swojej miłości i przywiązania, wziąć je na ręce. Tak z dwoma kotami na rękach udała się do kuchni, by zaparzyć sobie kawy w ulubionej filizance, na której widniał motyw antycznego grajka a z drugiej strony klucz wiolinowy.

Popijając małymi łydkami, powróciła myślami do tej szczególnej chwili, od której wszystko dla niej się zaczęło...

No tak: grała Czajkowskiego, by zagłuszyć gderanie ojca i dogadywanie matki. Nagle ojciec jak nigdy wparował do jej pokoju i niewiele się zastanawiając, złapał za poduszkę i rzucił nią w jej kierunku, wykrzykując:

– Nie, Ewa! Tak nie będzie, żebyś mnie ignorowała.

– Wcale cię tato nie ignoruję, gram sobie spokojnie – odparła.

I rzeczywiście grała sobie spokojnie, nie zwracając na zaczepki i uwagi rodziców, bo niby po co, skoro zawsze racja jest po ich stronie. Jednak brak reakcji dobrej czy złej tylko rozjuszył ojca i matkę.

– I owszem grasz, tylko co z tego, skoro mnie ignorujesz!

Tego było już za wiele, nie mogła ojcu odpuścić niesłusznego oskarżenia, musiała mu powiedzieć, że nie ma racji, że za dużo sobie pozwalał.

– Coś podobnego? Chyba sam nie wiesz, co mówisz.

– Dobre sobie! Ja nie wiem?

– Lepiej tato zakończ dyskusję, która do niczego i tak nie prowadzi.

Zapadło milczenie po obu stronach. Ojciec zamiast wyjść, prowokował ją swoją postawą – stał naprzeciw niej, mierząc ją wzrokiem bazyliuszka. Gra w tym momencie nie miała sensu. Jeszcze przez jakiś czas udawało jej się coś zagrać, ale tylko przez jakąś chwilę. W końcu niewytrzymała obecności ojca – tego jego spojrzenia. Nie wiedząc kiedy, trzepnęła smyczkiem w pulpit, aż się nuty rozsypały na wszystkie strony. Na koniec położywszy skrzypce na kanapę, głośno wrzasnęła:

– Spadaj stary!

Zatkała ojca tak wybuchową reakcją. Widać było, że język uwiązł mu w gardle i zrobił się purpurowy, nie wiedząc za bardzo, jak ma się zachować. W końcu jak zbity pies opuścił jej pokój „po angielsku”, za drzwiami użalając się sam do siebie.

– Taka jest wdzięczność dziecka.

Chwilę ciszy przerwał jej dzwonek telefonu. Poderwała go szybko, najpierw sprawdzając na wyświetlaczu, któż to do niej się dobija. – Magda! – Głośno odczytała. Nie czekając na ponaglenie, odebrała.

– No, co tam Magda?

– Jak to co? Fajna sprawa.

Przez chwilę trwała cisza, przez którą przebiegał się zduszony chichot najwyraźniej rozbawionej Magdy. Na pewno sprawa, z jaką przygnało ją do niej, nie była jakaś tam byle sobie. Dobrze ją znała, jednak zostawiła swój komentarz na później i zapytała:

– Mów jaśniej dziewczynko!

Po tych słowach usłyszała cichy chichot. Najwyraźniej to słowo „dziewczynko” rozbawiło koleżankę. Ewa, udając, iż nie dosłyszała, czekała na dalszy rozwój sytuacji.

– Chodźmy na dłuższy spacer.

– A gdzie?

– Jak to gdzie, na naszą plażę!

– Co ty?

Troszkę ją zaskoczyła ta propozycja. Na ich ulubioną dziką plażę i to we dwie bez starych przyjaciół, z którymi zazwyczaj tam się zaszywali – czy ja wiem, pomyślała. Chyba zbyt długo myślała, bo usłyszała w słuchawce głos Magdy.

– Nie marudź, tylko wskakuj w buciki i chodu! Pogoda dziś sprzyja.

– To fakt.

– Zgódź się, proszę?

Znowu zapadło milczenie, bo tak nieoczekiwanie padł ten pomysł. W dodatku w takim momencie, w którym wydawało się jej, iż cały świat ją woła, a zarazem podkłada jej nogi. Na pewno niepotrzebna sprzeczka z rodzicami dołała tylko oliwy do ognia – nieświętego. W końcu dotarło do niej, że czemu ma się nie zgodzić, nawet było jej to na rękę – będzie lepiej, jak wyjdzie z domu. Tyle w nim nagromadziło się złych emocji i zapewne nie bez jej winy. Lepiej